



**Heribert Prantl**

## Czym jest wolna prasa dla demokracji?

*Dziennikarstwo u zarania XXI wieku*

Tak, bez wolnej prasy nie może być mowy o demokracji. To łatwo udowodnić. Prasa ma dla demokracji większe znaczenie niż Hypo Real Estate, niż Deutsche Bank, niż Dresdner Bank. Prasa odgrywa w systemie demokratycznym większą rolę niż Opel czy Arcandor. "Sueddeutsche Zeitung", "Frankfurter Allgemeine Zeitung", "Der Spiegel", "Die Zeit", "Die Welt", "Frankfurter Rundschau" i "taz" mają zasadnicze znaczenie dla funkcjonowania systemu demokratycznego. Bo to właśnie nie o demokrację chodzi, a nie o kapitalizm, nie o gospodarkę rynkową, nie o system finansowy. Demokracja to wspólnota ludzi, którzy budują przyszłość. I wszystkie media, czy to prasa, czy radio, czy telewizja, czy internet są główną siłą kształtującą tę wspólnotę. Po raz pierwszy wykazano ważką dla demokracji rolę prasy — bo wtedy nie było jeszcze innych środków przekazu — przed 177 laty. Od tego czasu o tym, że prasa, a poza tym także inne media, są warunkiem koniecznym do istnienia demokracji, przekonujemy się codziennie.

Niemiecki ruch demokratyczny bierze początek w roku 1832, kiedy to takie osiągnięcia jak zniesienie cenzury czy zgoda na organizowanie wieców zostały zniesione. W okolicy ruin zamku Hambach w Nadrenii-Palatynacie odbył się wielki protest przeciwko tym restrykcjom. Wzięło w nim udział około 30 000 osób. Była to pierwsza wielka demonstracja na ziemiach niemieckich. Jej głównym organizatorem był antenat wszystkich niemieckich dziennikarzy, Philipp Jakob Siebenpfeiffer, urodzony w roku 1789, w roku wybuchu rewolucji francuskiej. Kiedy w wyniku wspomnianych restrykcji doszło do tego, że władze opieczętowały jego maszynę drukarską, odwołał się, argumentując, że opieczętowanie maszyny drukarskiej jest tak samo nielegalne jak opieczętowanie pieca piekarniczego. Znakomita analogia, bo przywodzi na myśl i skojarzenie, że wolność prasy to chleb powszedni demokracji. To właśnie nie jest nauka płynąca z wydarzeń na zamku Hambach. Powtórzmy jeszcze raz: chleb powszedni demokracji to wolność słowa.

W onych dniach rodzącej się na ziemiach niemieckich demokracji był Hambach glebą, na której przyjęło się jej ziarno. Dzisiaj te, wtedy zasadzone, drzewa demokracji rozrosły się znacznie i mają mocne korzenie. Nad tym, żeby mogły dalej bujnie się rozwijać czuwa dziś Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe. I właśnie Karlsruhe potwierdziło — w mających do dzisiaj wielką wagę orzeczeniach — znaczenie wolnej prasy dla systemu demokratycznego: w wyroku w sprawie "Spiegla", w 1965 roku, czy w orzeczeniu w sprawie pisma "Cicero" z roku 2007. Czytamy tam: "Wolna, niezależna od władzy, nie podlegająca cenzurze prasa" jest "istotnym elementem wolnego państwa". Dalej: "Prasa jest nieustającym łącznikiem i zarazem organem kontroli między narodem i jego w wolnych wyborach wybraną władzą — rządem i parlamentem." I to też znaczy: wolność prasy jest chlebem powszednim

demokracji.

Chlebem powszednim żywi nas także radio publiczne i telewizja publiczna, które tak jak prasa podlegają pod ustawę o mediach. A my kupujemy gazety i opłacamy radio i telewizję. Porównując opłaty za te media z sumami przeznaczonymi w latach 2008/09 na podtrzymywanie koniunktury w gospodarce są to ostatnie drobną sumą, a wydatki państwa na bank Hypo Real Estate — prawie ze drobnym kredytem. Za te niewątpliwie znaczne sumy z opłat otrzymujemy nie tylko chleb powszedni, ale też wszelkiego rodzaju smakołyki: babki i babeczki, rogaliki i zawijańce, z nadzieniem i posypką.

Jedno chcę wyrazić nie zaznaczyć: prasa jako taka nie powinna być w żadnym wypadku finansowana czy wspomagana przez państwo. Tego by jeszcze brakowało, żeby tak jak w *ZDF* (Zweites Deutsches Fernsehen, drugi program publicznej telewizji, gdzie — rządząca partia polityczna ma wpływ na obsadzanie stanowiska redaktora naczelnego) partie próbowały wywierać wpływ na decyzje personalne na przykład w "taz". Nie zgadzam się na jakiegokolwiek wsparcie finansowe dla gazet przede wszystkim z tego powodu, że nie widzę konieczności takiego, mimo że ze wszystkich stron rozlegają się skargi na złą sytuację finansową.

Obserwuję natomiast inne zjawisko, mianowicie jakieś dziwaczne dekadentkie nastroje ogarniające dziennikarzy prasowych, jakąś mieszkankę melancholii i niefrasobliwość, chandrę naprzemian z bezsilnością wobec nieustannie zmniejszającej się liczby ogłoszeń i wobec wzrostu znaczenia internetu. Ten rzekomy kryzys egzystencjalny, wręcz poczucie zbliżającego się końca gazet, czy nawet całego zawodowego dziennikarstwa, to wszystko objawy hysterii, której wódz twórców pióra powodzi się lepiej niż w innych kręgach. Wrzaskliwe dziennikarstwo, podniecone krzyki, które od pewnego czasu tak wyraźnie widoczne są w naszej politycznej publicystyce, same zwiastują swój własny koniec. Tak długo będą się uskarżać na sytuację, aż wszyscy uwierzą, że naprawdę jest źle. Nawet tak mądrzy ludzie jak Jürgen Habermas czy Dieter Grimm.

To właściwie filozof, Jürgen Habermas i odpowiedzialny za wolność prasy sędzia Trybunału Konstytucyjnego, Dieter Grimm, wypowiadali się publicznie za finansowaniem gazet przez państwo. Ponieważ wierzyli i wierzą nadal, że sytuacja finansowa wydawnictw prasowych jest fatalna, że egzystencja gazet jest zagrożona. My, dziennikarze, z wyższą cię odrzuciłeś te propozycje, ale reakcja taka jest nierzadko łatwiejsza niż walka ze złym zarządzaniem wydawnictw czy z wygórowanym oczekiwaniem zysków przez wydawców. A niczym nieuzasadnione oczekiwanie zysków przez właścicieli wydawnictw nie są wynikiem ich trudnego położenia, tylko przejawem krótkowzroczności i głupoty.

Nie jest tak, jakoby niemieckie gazety odnotowywały straty. Nie, nie przynoszą już tylko tak znacznych zysków jak dawniej. To jest normalne zjawisko. Nie ma przecież gwarancji na wysokie zyski. Jednak wydawnictwa wykorzystują rzekome trudności do niczym nieuzasadnionych reorganizacji i restrukturyzacji, czyli głównie do zmniejszania liczby zatrudnionych dziennikarzy, co jest tym bardziej tragiczne, że przez takie ekscesy zagrażają przyszłości domów wydawniczych.

Niemieckie gazety nie potrzebują pomocy państwa. Bez czego się jednak nie mogą obejść, to wydawcy i dziennikarze, którzy solidnie wywiązują się ze swoich obowiązków. Gazety potrzebują dziennikarzy, którzy są ludźmi

ciekawymi, niewygodnymi, krytycznymi i samokrytycznymi, pewnymi w swych osądach i niezależnymi. Więcej, gazety potrzebują wydawców, którzy takie dziennikarstwo cenią i dla których duma z własnego powołania więcej znaczy niż jeden czy dwa procenty zysku.

### **Kryzys gazet i rynku gazetowego w Stanach Zjednoczonych**

Upadek amerykańskich gazet zaczął się zarysowywać od czasu wejścia na giełdę. Nagle ich wartość przestała być mierzona uznaniem czytelników, a uzależniła się od uznania akcjonariuszy. Ciągłe i wszędzie żądano zwiększania wartości akcji. To można było osiągnąć jedynie przez zamykanie biur, kastrowanie redakcji, zmniejszanie liczby korespondentów, obniżanie cen druku kosztem jakości. To jasne, że menedżerowie giełdowi nie są zainteresowani prawdziwym dziennikarstwem. Właśnie nie to było i jest przyczyną kryzysu gazet w Stanach Zjednoczonych.

Inną przyczyną upadku dziennikarstwa amerykańskiego jest też chyba niesławna rola, którą gazety odegrały w czasach prezydentury Busha. "W Waszyngtonie nawet renomowani korespondenci dali się nabrać na kłamstwa kliki neokonserwatystów", twierdzi laureat nagrody Pulizera, Russell Backer. Blogi, które w tym czasie powstały, nie były więc niczym innym jak tylko ucieczką piszących w niezależność. To właśnie na blogach można było przeczytać krytyczne analizy i komentarze do wojny w Iraku i do poczynań Busha. W gazetach nie było na nie miejsca. To właśnie blogerom zawdzięczamy fakt, że wypełnili lukę, którą pozostawili po sobie dziennikarze.

### **Blogi oznaczają więcej demokracji**

Można nie: blogi. Blogi i internet. Nie rozumiem, dlaczego dziennikarz miałby się obawiać internetowej "Huffington Post". Ta gazeta internetowa nie prezentuje nic innego jak tylko dobre dziennikarstwo. Należy skończyć z przeciwstawianiem dobrego, klasycznego dziennikarstwa rzekomo diametralnie różnemu dziennikarstwu internetowemu. Należy się wyzyść zazdrości wobec blogerów, że ich koszty własne są niewielkie, przecież ich zyski są także minimalne. Koniec z narzekaniem, że prawdziwe klasyczne dziennikarstwo zniknie w trójkącie bermudzki. Przecież dobre klasyczne dziennikarstwo nie jest niczym innym jak też dobrym dygitalnym dziennikarstwem. Linie podziału przebiegają wzdłuż i wszerz przez wszystkie rodzaje środków masowego przekazu. Tylko tyle i aż tyle.

Revolucja dygitalna to dla redaktorów nowi czytelnicy, i to w wymiarze globalnym. Masy informacji, które przetaczają się przez internet, czekają jednak na uporządkowanie. W tym leży nowe zadanie i wyzwanie dla dziennikarstwa: wiedza, refleksja i analiza — tylko to pozwoli obronić się przed zalewem śmiecia informacyjnego. To właśnie dziennikarze gazetowi muszą podjąć się tego, może niewdzięcznego, zadania i jak Kopciuszek wybierać z popiołu zdrowe ziarna, a złe ziarno odrzucić. I z tego przydatnego formować nową jakość dziennikarską, nowy kształt przekazu informacji.

Amatorskie dziennikarstwo blogów to żaden powód do narzekania. To szansa na owocną współpracę. Dzisiejsi blogerzy przypominają mi rewolucjonistów z czasu Wiosny Ludów, dzisiejsza rewolucja w komunikacji przypomina mi tamtą, bo wtedy to była przecież rewolucja komunikacyjna. W ciągu dwóch lat podwoiła się liczba niemieckojęzycznych dzienników. W Paryżu nakłady gazet wzrosły z 50 000 przed rewolucją do 400 000 w 1948. Głównym zadaniem powstałych wtedy niezliczonych grupowań i kół politycznych było wspólne

głośne czytanie i dyskusja nad treścią artykułów gazetowych. Masowemu rozprzestrzenianiu się gazet i masowemu przemieszczaniu się ludzi nowym środkiem lokomocji, kolejną, towarzyszyło rozprzestrzenianie się nowych idei. W Niemczech zrodziła się w tym czasie idea wspólnego państwa niemieckiego. Słowem, był to czas rodzących się nowych możliwości. Co czeka nas więc teraz, 150 lat później? Co otwiera przed nami rewolucja dygitalna?

A zatem: blogi oznaczają "więcej demokracji". Mimo wielu manowców dają one nam szansę na nową liberalną rewolucję. I tu mieliby zawodowi dziennikarze zadzierać nosa, tak jak to przed 150 laty czynili monarchowie i arystokraci?

### **Mniej mówić, więcej działać**

Może my tu, w Niemczech, nie powinniśmy myśleć o wolności prasy rozprawiać, ale ją po prostu praktykować. Zbyt dużo kadzidła, mówi przysłowie, okopci się święto. W kłębach dymu kadzidlanego i zrytualizowanych pieniuch pochwalnych na cześć wolności słowa już nie rozpoznajemy jej oblicza. Czym jest więc wolność słowa? Co prawda jest wymieniona w Karcie Praw Podstawowych Unii Europejskiej, a także w Konstytucji, ale tak naprawdę wolność słowa należy do tych błyskotek, w które przystrajamy się w dni szczególne, dajmy na to w rocznicę uchwalenia Konstytucji, by na następny dzień odłożyć ją do schowka, tak jak każda rodzina po świętach chowa ozdoby choinkowe aż do następnego roku.

W Niemczech w codziennej praktyce władzy ustawodawczej wolność wypowiedzi nie odgrywa żadnej roli. Najlepszy przykład: ustawa o BKA (Bundeskriminalamt, Federalne Biuro Śledcze), ustawy o kontroli telekomunikacji i przechowywaniu danych, zezwolenie na podsłuchiwanie telefonów dziennikarzy i na adnotacje o połączeniach telefonicznych, zgoda na kontrole twardych dysków w komputerach. Tak jakby nie było żadnej ochrony tajemnicy dziennikarskiej. Cóż pomoże zakotwiczone w procedurach postępowania karnego prawo do odmowy zeznań, jeśli państwo otrzyma potrzebne mu informacje z podsłuchu telefonu lub rewizji zawartości twardego dysku?

Wolność wypowiedzi — tak to jest niestety już od dłuższego czasu — musi ustąpić pola, gdy państwo i jego bezpieczeństwo zjawia się z kogutem policyjnym. Państwo przyzwyczało się lekceważyć wolność prasy. A ja pytam, czy my sami, dziennikarze, nie przyzwyczailiśmy się nasze powołanie lekceważyć? Może my sami jesteśmy dla wolności słowa większym niebezpieczeństwem niż ustawodawca? Takie mam wrażenie: rzeczywiste zagrożenie dla dziennikarstwa wypływa właśnie z mediów. Z mediów, które samymi sobą pogardzają, od wydawców, którzy rzekomo zmuszeni są do przesadnych i nieuzasadnionych oszczędności i od firm wydawniczych, które prawdziwe dziennikarstwo składają na ołtarz rynku ogłoszeń.

Niewykluczone, że moje wcześniejsze związki z Ratyzboną kazały mi teraz myśleć o słowach tamtejszego, zmarłego już, księcia von Thurn und Taxis. Tenże wyraził się któregoś razu o majątku swojego księstwa: to bogactwo jest tak wielkie, że nie zdołałoby się go ani przepić, ani przejeść, ani w żaden inny sposób przepuścić, można je tylko zgłupić. Czasem wydaje mi się, że duchowe bogactwo niemieckiego dziennikarstwa już doszło do stanu zgłupienia.

### **Dziennikarstwo przyszłości**

Jakie dziennikarstwo czeka nas jutro? Żeby mówić o przyszłość ci, trzeba znać przeszłość. Wspomniałem na wstępie o pierwszym dziennikarzu niemieckim, o Philippie Jakobie Siebenpfeifferze, ponieważ to on stoi na czele długiego szeregu wybitnych dziennikarzy. W Republice Weimarskiej zaliczali się do nich i Kurt Tucholsky i Carl von Ossietzky, w Republice Federalnej Niemiec był to Henri Nannen i Rudolf Augstein, a też Axel Springer. Mimo dzielących ich różnic wiedzieli oni, że dziennikarstwo jest nie tylko zawodem, ale też powołaniem.

Chętnie wspominam te wybitne postacie, bo to właśnie nie one są wzorem do nasz ladowania dla przyszłych pokoleń. Nasi młodzi koledzy na studiach dziennikarskich muszą się nie tylko uczyć, jak szybko i efektywnie produkować teksty; muszą wiedzieć także, że prawdziwy dziennikarz jest nie tylko doskonałym rzemieślnikiem, ale że posiada mądrość i, co najważniejsze, indywidualność i postawę.

Postawa: to słowo wyszło już z mody. Postawa to bycie nieugiętym, to zajęcie stanowiska w razie potrzeby, to niepoddawanie się krótkotrwałym modom czy, co gorsze, oczekiwaniu na wygórowane zyski. Jestem głęboko przekonany, że jeśli bilans dziennikarski gazety się zgadza, na dłuższą metę będzie się też zgadzać bilans ekonomiczny. Co nie znaczy, że możemy sobie pozwolić na to, by stracić z oczu rozsądną oszczędność, bo tylko to pozwoli nam koniec końców przetrwać na rynku prasowym.

Powtórzmy: może nie powinniśmy tyle rozprawiać o wolność ci prasy, ile tę właśnie wolność praktykować, zarówno w wydawnictwach, jak i w redakcjach. Podkreślam: w wydawnictwach i w redakcjach. Nie wystarczy, że wydawnictwa i redakcje kierują do parlamentu jakieś tam rezolucje. Trzeba, żeby przez swoją pracę pokazały, czym dla nich jest wolność ci prasy i jak wielką wagę przywiązują do niej. Gorsze niż gromadzenie danych na zapas czy rewizje w redakcjach czy tylko w komputerach są duchowe kaftany bezpieczeństwa, które sobie dziennikarstwo samo nakłada, albo przeprowadzane przez wydawnictwa kastrowanie redakcji. Wolność ci prasy nie jest wolność ci szarańczy, ale wolność ci odpowiedzialnych dziennikarzy i wydawców. Szarańcza zżera wszystko, nawet wolność ci słowa. Pracy dziennikarskiej nie można po prostu zastąpić agencjami public relations czy reklamowymi, albo zwykłymi "biurami usług dziennikarskich".

A niestety, tak właśnie się dzieje: od 1945 roku niebezpieczeństwo spłycenia i zgłupienia dziennikarstwa nigdy nie było tak wielkie jak teraz, a to dlatego, że ulegamy rzekomej konieczności zwiększania zysku wydawnictwa. W miejsce dobrych fachowców—dziennikarzy pojawiają się zwinni spece od multimediów, którzy znają się po trochu na wszystkim, ale tak naprawdę — na niczym. Z ważnego zawodu zurnalisty powstanie w przyszłość ci zapełniacz stron gazetowych i internetowych. Tego rodzaju zajęcie nie ma jednakowoż nic wspólnego z szerzeniem kultury, do której rozwoju właśnie coś takiego jak wolność ci wypowiedzi się przyczynia.

Prasa, dziennikarze, wydawnictwa, szeroko rozumiane środki masowego przekazu mają zagwarantowaną wolność ci wypowiedzi. Ta jednak byłaby bez znaczenia, gdyby nie towarzyszyła jej odpowiedzialność. Tylko taka wolność ci jest fundamentem demokracji. Nie będziemy przestrzegać tej reguły, bezzasadnym stanie się prawo do swobodnego wypowiedzania myśli. Wtedy gazety nie będą miały racji bytu, zostaną skazane na powolne wymieranie. Już teraz spotykamy pesymistów, którzy zajmują się układaniem klepsydr: "Św. pamięci ..., urodzona 1603 w Alzacji, zmarła w roku pańskim 2020.

Zachowamy ją we wdzięcznej pamięci." Ci mówcy pogrzebowi nie wspominają jednak wcale o zmniejszaniu redakcji i zwalnianiu dziennikarzy, nie mówią o pladze jaką jest *outsourcing*, nie, oni mówią o internecie. Od czasu publikacji w 2004 roku książki amerykańskiego publicysty, Philipa Meyera, *The Vanishing Newspaper*, który to właś nie zapowiada znikanie dzienników, wszelakie dyskusje i debaty o internecie jawią się jako przygotowania do pogrzebu gazet codziennych.

Po pierwsze, na to wymieranie gazet jest jednak jeszcze o wiele za wcześnie — sam prof. Meyer przewiduje to zjawisko dopiero po roku 2043. Po drugie, można przypuszczać, że z przepowiedniami Meyera będzie tak jak z przepowiedniami Fukuyamy, dla którego rok 1992, czyli rok załamania się imperium sowieckiego, oznaczał "koniec historii". Tyle tylko, że historia nic sobie z tych wizji nie robiła.

Prawdą jest jednak, że istnieją ludzie przepelnieni ambicją, by to przez Meyera przepowiedziane umieranie przyspieszyć. W Niemczech przed jakimś czasem David Montgomery robił wszystko, by z "Berliner Zeitung" wypędzić ducha dziennikarstwa, a z gazety uczynić "platformę użytkową", na której coraz mniej będzie tego, co kosztuje — czyli dobrych artykułów — a coraz więcej tego, co dochód przynosi, czyli reklamy i tzw. *product-placement*. To właś nie znamy z USA: zwalnia się dziennikarzy, oszczędza się na korespondentach, rozwiązuje się redakcje, a teksty zamawia się w agencjach albo tanio kupuje od wcześnie zwolnionych zurnalistów. Oszczędza się tak długo, aż znikną czytelnicy. Podobnie jak w bajce Grimma o Hałasiku<sup>1</sup>, tylko odwrotnie: nie przedzie się złotych nitki ze słomy, lecz z chciwość ci i bezrozumu — słomę ze złota. Nie udało się jednak i "Berliner Zeitung" wróciła do dawnej formy, ale obawiam się, że co prawda Montgomery zniknął, ale inni mogą sobie z niego brać przykład.

### **Przeciwko śmietnikowi informacyjnemu pomoże tylko gruntowne wykształcenie i własna refleksja**

Gazety zmieniają się w przyszłość ci, muszą się zmienić, i to o wiele bardziej, niż zmieniły się pod wpływem radia i telewizji. Wyłowienie w sieci istotnych informacji z nawału tychże, opatrzenie ich komentarzem, dodanie opinii fachowców — to kosztuje. Ale właś nie czegoś takiego będzie szukał czytelnik, sam nieradzący sobie z zalewem niepotrzebnych informacji — i będzie gotów za to zapłacić.

Jak powiedziałem, ratunkiem przed zalewem bezwartościowymi informacjami jest gruntowne wykształcenie i refleksja. Tego właś nie będzie szukał czytelnik w gazecie i to musi tam znaleźć. A tanie, ogłupiające dziennikarstwo jest skazane na zagładę. Dobre dziennikarstwo musi kosztować. Czas, kiedy znakomite artykuły są w internecie nieodpłatne, odejdzie wkrótce do przeszłości ci. Co musi powstać, to jakiś sprawdzający się w praktyce system *micro-payment* za pojedynczy artykuł. Zakąska byłaby za darmo, danie główne kosztowałoby parę groszy. *Click and buy*: to nikogo nie zrujnuje, wzmocni jednak same gazety.

A poza tym nie miałbym nic przeciwko temu, żeby któraś z nowopowstających w Niemczech fundacji przejęła pieczę nad tą czy inną gazetą: mecenat byłby tu rzeczywiście ciekawą formą. Najlepszym przykładem jest Fundacja Fazit, która stała się gwarantem finansowej i redakcyjnej niezależności "Frankfurter Allgemeine Zeitung". Naśladowcy, do dzieła! W Niemczech jest przecież dużo mądrych i odpowiedzialnych miliarderów.

Ach, internet, internet. Niejeden traktuje internet jak nowy najazd Hunów. Hunowie pojawili się przed 1500 laty, przybyli znikąd, zniszczyli wszystko, co napotkali po drodze i — zniknęli 100 lat później. Internet nie niszczy jednak niczego; tak jak żadna inna wcześniejsza rewolucja medialna nie zniszczyła niczego, niczego nie usunęła w cień. Wręcz odwrotnie: zawsze rozwijała się współpraca. Tak też internet nie zastąpi dobrych dziennikarzy. Wręcz odwrotnie: dobrzy dziennikarze są i będą jeszcze bardziej niezbędni niż do tej pory. Ale bez ciężkiej pracy, bez trudu i znoju i tu się nie obejdziesz. Dać z siebie to, co najlepsze, a za solidną pracę otrzymać solidną zapłatę. To gwarancja przyszłości ci dobrego dziennikarstwa.

Stoimy u zarania wieku XXI, który niesie z sobą nowe wyzwania. Czy im podołamy? "Między ś witem a mgłą...ś wiat się rozszczępia, między ś witem a mgłą... zieje przepaść ć..."<sup>2</sup>Jeśli uda nam się znaleźć nasze miejsce i na nowo zdefiniować nasze zadania zanim nadejdzie dzień, mamy szansę czynić w przyszłości coś pozytywnego i wazkiego.

Fragmenty przemówienia pod tytułem "Sind Zeitungen systemrelevant?" wygłoszonego z okazji corocznego spotkania "Netzwerk Recherche e.V."

---

<sup>1</sup> "Hałasik" — polski tytuł bajki Grimma "Rumpelstilzchen"

<sup>2</sup> Niemiecki poetycki podtytuł przemówienia "Journalismus zwischen Morgen und Grauen" to nieprzetłumaczalna gra słów. "Morgengrauen", znaczy "ś wit", "szara godzina". Ale "Morgen" znaczy "ranek", a "Grauen" — "strach", "przerazenie". Podtytuł tłumaczyłby się zatem dosłownie: "Dziennikarstwo między rankiem a przerażeniem", co w języku polskim nie ma żadnego sensu, a co próbowałam oddać równie poetycko cytatem z Jacka Kaczmarskiego: "Między ś witem a mgłą..."

---

Published 2010-08-25

Original in German

Translation by Therese Kosowski

Contribution by Res Publica Nowa

First published in *Res publica nova*(2010) (Polish version); *Blätter für deutsche und internationale Politik* 8/2009 (German version)

(c) Heribert Prantl

(c) Eurozine